

George R.R. Martin

Małpia kuracja

Kenny Dorchester był grubasem.

Oczywiście, nie był nim zawsze. Przyszedł na świat jako absolutnie normalny noworodek o przeciętnej wadze, ale w jego przypadku owa normalność nie utrzymała się zbyt długo. Szybko stał się pyzaty kilkulatkiem o grubej warstwie dziecięcego tłuszczu. Od tej pory szło już z górki, czy raczej pod górkę, jeśli chodzi o wagę Kenny'ego. Przerodził się kolejno w pulchne dziecko, korpulentnego nastolatka i spasionego studenta college'u. Gdy wkroczył w wiek dorosły, zostawił już te pośrednie stadia za sobą, osiągając pełną otyłość.

Ludzie stają się otyli z różnych powodów, niekiedy fizjologicznych, niekiedy psychologicznych. W jego przypadku powód był prosty: Kenny Dorchester kochał jeść. Często parafrazował Willa Rogersa i mówił znajomym, mrugając znacząco, że nigdy nie spotkał potrawy, która by mu nie smakowała. Nie było to końca prawdą, jako że Kenny nie znosił wątróbki i soku z suszonych śliwek. Niewykluczone, że gdyby matka częściej podawała mu je w dzieciństwie, nigdy nie osiągnąłby masy i rozmiarów, które w dorosłym życiu stały się dla niego taką udręką. Niestety, Gina Dorchester wołała lasagne, pieczonego indyka z nadzieniem, bataty, budyń czekoladowy, dobrze przyrządzoną cielęcinę, gotowane kolby kukurydzy oraz całe stopy naleśników z jagodami (choć nie zjadała tego wszystkiego za jednym posiedzeniem) od wątróbki i soku z suszonych śliwek, a gdy tylko Kenny dał wyraz swym preferencjom w tej sprawie, wymiotując wątróbkę na talerz, nigdy już mu jej nie proponowała. Tak oto skierowała nieświadomie syna na szeroką, wysmarowaną tłuszczem drogę wiodącą do małpiej kuracji. To jednak wydarzyło się dawno temu i nie można mieć pretensji do biednej kobiety. Kenny sam się doprowadził do tego zwyczajną żarłocznością. Uwielbiał pizzę pepperoni, pizzę bez dodatków i pizzę ze wszystkim, wliczając anchois. Potrafił pochłonąć cały płat grillowanych żeberek – czy to wieprzowych, czy wołowych – a

Małpia kuracja

Kenny Dorchester był grubasem.

Oczywiście, nie był nim zawsze. Przyszedł na świat jako absolutnie normalny noworodek o przeciętnej wadze, ale w jego przypadku owa normalność nie utrzymała się zbyt długo.

Szybko stał się pyzaty kilkulatkiem o grubej warstwie dziecięcego tłuszczu. Od tej pory szło już z górki, czy raczej pod górkę, jeśli chodzi o wagę Kenny'ego. Przerodził się kolejno w pulchne dziecko, korpulentnego nastolatka i spasionego studenta college'u. Gdy wkroczył

w wiek dorosły, zostawił już te pośrednie stadia za sobą, osiągając pełną otyłość.

Ludzie stają się otyli z różnych powodów, niekiedy fizjologicznych, niekiedy psychologicznych. W jego przypadku powód był prosty: Kenny Dorchester kochał jeść.

Często parafrazował Willa Rogersa i mówił znajomym, mrugając znacząco, że nigdy nie spotkał potrawy, która by mu nie smakowała. Nie było to końca prawdą, jako że Kenny nie znosił wątróbki i soku z suszonych śliwek. Niewykluczone, że gdyby matka częściej podawała mu je w dzieciństwie, nigdy nie osiągnąłby masy i rozmiarów, które w dorosłym życiu stały się dla niego taką udręką. Niestety, Gina Dorchester wolala lasagne, pieczonego indyka z nadzieniem, bataty, budyń czekoladowy, dobrze przyrządzoną cielęcinę, gotowane kolby kukurydzy oraz całe stosy naleśników z jagodami (choć nie zjadała tego wszystkiego za jednym posiedzeniem) od wątróbki i soku z suszonych śliwek, a gdy tylko Kenny dał wyraz swym preferencjom w tej sprawie, wymiotując wątróbkę na talerz, nigdy już mu jej nie proponowała. Tak oto skierowała nieświadomie syna na szeroką, wysmarowaną tłuszczem drogę wiodącą do małpiej kuracji. To jednak wydarzyło się dawno temu i nie można mieć pretensji do biednej kobiety. Kenny sam się doprowadził do tego zwyczajną żarłocznością.

Uwielbiał pizzę pepperoni, pizzę bez dodatków i pizzę ze wszystkim, wliczając anchois.

Potrafił pochłonąć cały płat grillowanych żeberk – czy to wieprzowych, czy wołowych – a im ostrzejszy sos, tym bardziej mu smakował. Uwielbiał również krwiste żeberka, pieczone kurczaki i kury Rock Cornish nadziewane ryżem, nie zwykł też oponować przeciwko dobrej polędwicy wołowej, talerzowi smażonych krewetek albo pętu kielbasy. Lubił hamburgery ze wszystkimi możliwymi dodatkami, a do tego z frytkami i krążkami cebuli. Z jego przyjacielem ziemniakiem nie można było zrobić nic, co zwróciłoby Kenny'ego przeciwko niemu, ale odpowiadały mu również makaron i ryż, bataty z cukrem i bez cukru, a nawet tłuczona brukiew.

Mawiał niekiedy: „Desery to moja zguba”, gdyż lubił słodkie wszelkich rodzajów, zwłaszcza tort czekoladowy, cannoli i ciepły jabłecznik z bitą śmietaną. „Chleb to moja zguba”, powtarzał przy innych okazjach, kiedy nie zanosilo się na deser, ponieważ dawało mu to pretekst do urwania sobie kolejnego kawałka chleba na zakwasie, posmarowania masłem jeszcze jednego rogalika albo sięgnięcia po następną kromkę pieczywa czosnkowego, do którego miał szczególną słabość. Kenny

miał zresztą mnóstwo szczególnych słabości. Uważał

się za znawcę zarówno wykwintnych restauracji, jak i fast foodów. Potrafił bez końca rozprawiać o jednych i o drugich, wykazując się wielką znajomością tematu. Uwielbiał

kuchnię grecką, chińską, japońską, koreańską, niemiecką, włoską, francuską i indyjską.

Zawsze też wypatrywał nowych grup etnicznych, by „poszerzyć kulturowe horyzonty”. Po upadku Sajgonu zadawał sobie pytanie, ilu wietnamskich uchodźców otworzy restauracje w jego mieście. Gdy gdzieś wyjeżdżał, zawsze obżerał się miejscowymi specjałami. Potrafił

wymienić najlepsze restauracje w dwudziestu czterech największych miastach Ameryki, wspominając z lubością spożyte w nich posiłki. Jego ulubionymi pisarzami byli James Beard i Calvin Trillin.

Oznajmiał niekiedy z radosnym uśmiechem: „Mam smaczne życie!”. I była to prawda.

Kenny miał też jednak pewną tajemnicę. Rzadko o niej myślał i nigdy o niej nie mówił, ale wciąż skrywał ją pod zwalami tłuszczu. Nie mógł utopić jej w żadnym sosie ani odeprzeć jej ataków swym wiernym widelcem.

Kenny Dorchester nie lubił być gruby.

Był jak mężczyzna rozdarty między dwiema kochankami. Choć kochał jedzenie z niesłabnącą pasją, marzył też o innych miłościach, o kobietach, i wiedział, że aby je zdobyć, musiałby wyrzec się swej pierwszej miłości. Ta świadomość była dla niego źródłem skrywanych cierpień. Często borykał się z tym dylematem i dochodził do wniosku, że choć byłoby lepiej być szczupłym i mieć kobietę zamiast być grubasem, i mieć tylko zupę z raków, to ta druga sytuacja również posiada pewne zalety. W końcu obie dawały szczęście, a prawdziwie nieszczęśliwi byli jedynie ci, którzy zrezygnowali z jednego i nie udało im się osiągnąć drugiego. Nic nie przygnębiało Kenny’ego bardziej niż widok grubasa jedzącego twaróg. Uważał, że takim żalonym osobnikom nigdy nie udaje się naprawdę schudnąć i w rezultacie są skazani na życie bez kobiet i bez zupy z raków, czyli los, o którym strach nawet pomyśleć.

Bez względu jednak na podobne obawy skrywany ból wzmagał się niekiedy gwałtownie, wypełniając Kenny’ego Dorchestera determinacją, która przekonywała go, że wszystko jest możliwe. Widok szczególnie pięknej kobiety albo wiadomość o jakiejś nowej, bezbolesnej i cudownie skutecznej diecie szczególnie łatwo wywoływały to, co Kenny zwał „aberracjami”.

Gdy nadchodził taki nastrój, Kenny zaczynał myśleć o odchudzaniu.

Z upływem lat przetestował wszystkie istniejące diety. Stosował je krótko i w tajemnicy.

Próbował diety doktora Atkinsa i diety doktora Stillmana, diety grejpfrutowej i diety opartej na niełuskanym ryżu. Próbował też płynnej diety wysokobiałkowej, która była naprawdę obrzydliwa. Przez cały tydzień nie jadł nic poza odżywkami Slender i Sego, aż wreszcie zaliczył wszystkie smaki i poczuł się znudzony. Wstąpił do klubu dla odchudzających się i przyszedł na kilka spotkań, ale

przekonał się, że towarzystwo, które tam spotykał, w niczym mu nie pomaga, bo wszyscy mówili tylko o jedzeniu. Prowadził strajk głodowy i wytrzymał, dopóki nie poczuł się głodny. Próbował diety sokowej, diety dla alkoholików – chociaż nie pił

– i diety opartej na martini i bitej śmietanie – zrezygnował z martini. Hipnotyzer przekonywał

go, że jego ulubione potrawy smakują niedobrze, a poza tym w ogóle nie jest głodny, ale to wszystko były tylko cholerne kłamstwa, dał więc sobie spokój z hipnozą. Zmienił swoje zachowanie w ten sposób, że odkładał widelec między kęsami, jadł z małych talerzy, które można było zapełnić małymi porcjami i zapisywał w notesie wszystko, co zjadł. Zyskał dzięki temu cały stos notesów, mnóstwo talerzy do zmywania oraz nadzwyczajną sprawność w odkładaniu i podnoszeniu widelca. Jego ulubiona dieta polegała na tym, że można było jeść dowolnie wiele ulubionej potrawy, ale nic poza nią. Problem w tym, że Kenny nie potrafił

zdecydować, która potrawa jest jego ulubioną, i w efekcie jadł przez jeden tydzień żeberka, przez drugi pizzę, a przez trzeci kaczkę po pekińsku – to był kosztowny tydzień. Nie stracił na wadze ani trochę, ale przynajmniej spędził przyjemnie czas.

Większość aberracji Kenny’ego Dorchestera trwała tydzień albo dwa. Potem, jak człowiek, który wyszedł z mgły, rozglądał się wokół i uświadamiał sobie, że czuje się fatalnie, stracił na wadze stosunkowo niewiele i grozi mu przemiana w jednego z tych grubasów od twarogu, nad którymi tak się litował. Dawał więc sobie spokój z dietą, szedł

zjeść coś dobrego i na sześć miesięcy wracał do normalnego zachowania. Potem skrywany ból znowu dawał o sobie znać.

Aż wreszcie, pewnego piątku, spotkał w Połciu Henry’ego Moroneya.

Poleć to była jego ulubiona smażalnia. Specjalizowała się w żeberkach, mocno przyrumienionych i mięsistych, podawanych z sosem, który bardzo przypadł Kenny’emu do gustu. W piątki każdy mógł tam kupić za piętnaście dolarów tyle żeberek, ile tylko był w stanie zjeść. Dla większości ludzi była to bardzo wygórowana cena, ale dla Kenny’ego, który mógł zmieścić w sobie bardzo dużo żeberek, to było półdarmo. W ten piątek Kenny właśnie pożarł pierwszą porcję i czekał na drugą, popijając piwo i zagryzając je chlebem, gdy nagle uniósł wzrok i uświadomił sobie, że szczupły, wręcz wychudzony facet siedzący w sąsiednim boksie to nie kto inny jak Henry Moroney.

Kenny Dorchester był kompletnie zaskoczony. Kiedy ostatnio widział Henry’ego Moroneya, obaj byli nieszczęśliwymi członkami klubu dla odchudzających się, a Moroney jako jedyny z całego towarzystwa ważył więcej od Kenny’ego. Był spasiony niczym wieloryb i – jak wyznał poznanym w klubie towarzyszom niedoli – nadano mu okrutne przydomko

„Kościotrup”. Ale teraz ten przydomek do niego pasował. Moroney był tak chudy, że pod skórą widać mu było żebra. Mimo to stół, przy którym siedział, był dosłownie zasłany kośćmi. Ten szczegół zaintrygował Kenny’ego Dorchestera. Wszystkie te kości. Zaczął je liczyć, ale wkrótce stracił rachubę, gdyż ogryzione żeberka leżały beładnie na talerzach pośród małych kałuż schnącego sosu. Ich objętość świadczyła jednak, że Moroney pochłonał

przynajmniej cztery połcie żeberek, być może nawet pięć.

Kenny'emu Dorchesterowi nasunęła się myśl, że Henry Kościotrup Moroney poznał

tajemnicę. Jeśli istniał jakiś sposób na to, by stracić na wadze dziesiątki kilogramów, a mimo to nadal być zdolnym do pochłonięcia pięciu połci żeberek za jednym posiedzeniem, Kenny rozpaczliwie pragnął go poznać. Wstał, podszedł do boks Moroneya i wcisnął się na miejsce obok niego.

– Poznają cię – oznajmił.

Moroney uniósł wzrok, jakby do tej chwili w ogóle nie zauważył Kenny'ego.

– Och – odezwał się słabym, znużonym głosem. – To ty.

Sprawiał wrażenie okropnie zmęczonego, ale Kenny pomyślał, że to zapewne naturalne w wypadku kogoś, kto schudł tak bardzo. Oczy miał zapadnięte, jego oczodoły zamieniły się w szare, głębokie dziury, a skóra zwisała w bladych, pustych fałdach. Pochylał się, wsparty łokciami o blat, jakby był zbyt słaby, żeby siedzieć prosto. Wyglądał okropnie, ale stracił na wadze tak wiele...

– Świetnie wyglądasz! – palnął Kenny. – Jak to zrobiłeś? Jak? Musisz mi powiedzieć, Henry, naprawdę musisz.

– Nie – wyszeptał Moroney. – Nie, Kenny. Zostaw mnie.

To nie przypadło do gustu Kenny'emu.

– No, nie! – zawołał. – Przyjaciele tak nie postępują. Nie pójdę sobie, dopóki nie zdradzisz mi swojej tajemnicy, Henry. Jesteś mi to winien. Pomyśl, ile razy dzieliliśmy się chlebem.

– Och, Kenny – ciągnął Moroney swym słabym, straszliwie brzmiącym głosem. –

Odejdź, proszę, odejdź, nie chcesz tego wiedzieć, to zbyt... zbyt... – Przerwał w połowie zdania. Po jego twarzy przebiegł spazm. Mężczyzna jęknął. Głowa odskoczyła mu gwałtownie w bok, jakby miał jakiś atak. Zabębnił dłońmi o stół. – Ooooo – zawołał.

– Henry, co się stało? – zapytał zaniepokojony Kenny. Był już pewien, że Kościotrup Moroney przesadził ze swoją dietą.

– Oooch – westchnął Moroney z nagłą ulgą. – To nic, nic. Wszystko w porządku... –

powiedział, ale ton jego głosu zadawał kłam coraz radośniejszym słowom. – Czuję się rewelacyjnie. Rewelacyjnie, Kenny. Nie byłem taki szczupły od czasu... od czasu... właściwie to nigdy taki nie byłem. To cud. – Uśmiechnął się blado. – Wkrótce osiągnę cel i wtedy wszystko chyba się skończy. Chyba osiągnę cel. Właściwie to nie wiem, ile teraz ważę. –

Dotknął dłonią czoła. – Ale jestem szczupły, naprawdę szczupły. Prawda, że dobrze wyglądam?

– Tak, tak – potwierdził niecierpliwie Kenny. – Ale jak to zrobiłeś? Musisz mi powiedzieć. Z pewnością nie dzięki tym oszustom z klubu...

– Nie dzięki nim – zgodził się słabym głosem Moroney. – Nie, to była małpia kuracja.

Masz, zapiszę ci adres.

Wyjął ołówek i nabazgrał coś na serwetce.

Kenny schował ją do kieszeni.

– Małpia kuracja? Nigdy o niej nie słyszałem. Na czym ona polega?

– To... – zaczął i nagle dopadł go kolejny atak. Zaczął miotać groteskowo głową. – Idź

tam – powiedział Kenny’emu. – Ona działa, Kenny, och, tak. Małpia kuracja, tak. Nie mogę powiedzieć nic więcej. Masz adres. Wybacz, ale muszę iść.

Oparł dłonie płasko o blat, podniósł się z wysiłkiem i poszedł do kasy, powłócząc nogami jak człowiek dwukrotnie starszy. Kenny Dorchester śledził go wzrokiem. Doszedł do wniosku, że Moroney zdecydowanie przesadził z tą małpią kuracją, czymkolwiek mogła ona być. Nigdy przedtem nie miał żadnych tików i spazmów czy co to tam było.

– Trzeba umieć zachować umiar – powiedział sobie stanowczo. Poklepał się po kieszeni, żeby się upewnić, czy serwetka tam jest, postanowił, że będzie rozsądniejszy niż Kościotrup Moroney, i wrócił do boksu na drugi płat żeberek. Pożarł w sumie cztery, przekonany, że jeśli ma od jutra zacząć dietę, to dobrze byłoby najpierw porządnie się najeść.

Następnego dnia była sobota, Kenny mógł więc bez przeszkód udać się na poszukiwania małpiej kuracji i marzenia o nowej, szczupłej wersji własnej osoby. Wstał wcześniej i natychmiast pobiegł zważyć się na elektronicznej wadze. Bardzo ją lubił, bo nie musiał się schylać, żeby odczytać wynik. Urządzenie wyświetlało go jasnymi, dużymi, czerwonymi cyframi. Tego dnia ważył 166 kilogramów. Przybyło mu kilka, ale nie przejął się tym zbytnio.

Małpia kuracja szybko go od nich uwolni.

Zamierzał najpierw zadzwonić, żeby się upewnić, czy mają otwarte w sobotę, ale okazało się to niemożliwe. Moroney nie zapisał nic poza adresem, a na żółtych kartkach w książce telefonicznej nie znalazł pod tym numerem żadnej poradni dietetycznej, klubu fitness ani lekarza. Potem sprawdził białe kartki pod „Małpia”, ale to również nic mu nie dało. Nie pozostało mu nic innego niż udać się tam osobiście.

Nawet to okazało się niełatwe. Wskazane miejsce znajdowało się daleko w dzielnicy portowej, w szczególnie podejrzanej okolicy, i Kenny’emu trudno było przekonać taksówkarza, żeby go tam zawiózł. W końcu musiał zagrozić, że napisze na niego skargę.

Kenny Dorchester znał swoje prawa.

Wkrótce jednak dopadły go wątpliwości. Wąskie uliczki, którymi jechali, były brudne i popadały w ruinę. Wyglądały bardzo nieapetycznie i Kenny'emu przyszło do głowy, że w poradni dietetycznej położonej w takiej okolicy nie znajdzie nic poza niebezpieczną szarlatanerią. Budynek znajdował się w starym, podupadłym ciągu handlowym. Ten widok jeszcze bardziej zaniepokoił Kenny'ego. W połowie sklepów okna zabito deskami, a druga połowa kryła się za ciemnymi, brudnymi szybami i żelaznymi kratami. Taksówka zatrzymała się przed witryną w starym, ceglanym gmachu, który wyglądał naprawdę okropnie. Domy po obu stronach były opustoszałe i pełne gruzu, a za brudnymi szybami nie sposób było nic wypatrzeć. Nad drzwiami kołysała się, poskrzypując, wyblakła reklama coca-coli. To jednak był adres, który podał mu Kościotrup Moroney.

– Jesteśmy na miejscu – rzucił niecierpliwie taksówkarz, gdy przerażony Kenny przyglądał się temu wszystkiemu przez okno.

– Coś tu chyba jest nie tak – stwierdził Kenny. – Sprawdzę to. Niech pan będzie tak uprzejmy i zaczeka, dopóki się nie upewnię, czy to właściwe miejsce.

Taksówkarz skinął głową i Kenny wygramolił się z samochodu. Gdy postawił dwa kroki, usłyszał, że kierowca włączył bieg i odjechał z piskiem opon. Kenny odwrócił się i śledził go wzrokiem ze zdumieniem.

– Hej, tak nie można... – zaczął. Nic to jednak nie pomogło. Doszedł do wniosku, że z pewnością napisze skargę na taksówkarza.

Tymczasem jednak znalazł się na miejscu i wyglądałoby głupio, gdyby nie zrobił tego, po co tu przyjechał. Bez względu na to, czy zdecyduje się na małpią kurację, z pewnością pozwoli mu skorzystać z telefonu, żeby wezwać inną taksówkę. Zebrał się na odwagę i wszedł do brudnego, pozbawionego szyldu sklepu. Kiedy otwierał drzwi, zadzwieczał

dzwonek.

W środku było ciemno. Kurz i brud na szybach zatrzymywały prawie całe światło słońca i minęła dobra chwila, nim oczy Kenny'ego przywykły do półmroku. Gdy już się to stało, uświadomił sobie z grozą, że wtargnął do czyjegoś prywatnego pokoju. Pomyślał, że to z pewnością jedna z tych cygańskich rodzin, które wprowadzają się do opustoszałych sklepów.

Stał na wytartym dywanie, otoczony zestawem starych mebli, z pewnością najlepszych, jakie oferowano w Armii Zbawienia. W jednym kącie przycupnął archaiczny, czarno-biały telewizor, który gapił się na Kenny'ego okiem pustego ekranu. Śmierdziało moczem.

– Przepraszam – mruknął słabo, bojąc się, że z mroku wyskoczy jakiś młody, ciemnoskóry Cygan i pchnie go nożem. – Przepraszam.

Cofnął się o krok, wyciągając rękę za siebie, by znaleźć klamkę. I nagle z zaplecza wynurzył się jakiś mężczyzna.

– Ach! – zawołał, kierując na Kenny'ego spojrzenie błyszczących oczek. – Małpia kuracja! – Zatarł z

uśmiechem dłonie. Kenny był przerażony. To był najtłustszy, najohydniejszy człowiek, jakiego w życiu widział. Musiał się przeciskać przez drzwi bokiem.

Był grubszy niż Kenny, a nawet Kościotrup Moroney. Wręcz ociekał tłuszczem. Był też odrażający pod innymi względami. Jego blada cera przywodziła na myśl pieczarkę, a maleńkie oczka niemal całkowicie niknęły pod zwalami tłuszczu. Wydawało się, że tusza wywarła wpływ nawet na włosy, których miał bardzo niewiele. Był nagi do pasa, widać było potężne zwaly tłuszczu na jego torsie i obwisłe piersi, kołyszące się w rytm kroków. Podeszedł

błyskawicznie do Kenny'ego i złapał go za ramię. – Małpia kuracja! – powtórzył radośnie, popychając Kenny'ego przed sobą. Zszokowany gość spojrzał na niego i zaniemówił na widok jego uśmiechu. Kiedy mężczyzna się uśmiechał, usta zajmowały mu pół twarzy, przeradzały się w groteskowy półokrąg pełen białych, błyszczących zębów.

– Nie – zdołał wreszcie wykrztusić Kenny. – Nie, zmieniłem zdanie. – Bez względu na sukces odniesiony przez Kościotrupa Moroneya, nie miał zamiaru poddawać się tej małpiej kuracji, jeśli aplikował ją ktoś taki. Po pierwsze, z pewnością nie mogła być skuteczna, bo inaczej mężczyzna nie byłby tak monstrualnie otyły. Po drugie, zapewne była niebezpieczna.

To przypuszczalnie był jakiś szarlatański eliksir przyrządzany z małpich hormonów albo czegoś w tym rodzaju. – NIE! – powtórzył Kenny z większą mocą, starając się wyrwać rękę z uścisku trzymającego go monstrum.

Nic to jednak nie dało. Mężczyzna był zdecydowanie masywniejszy i nieporównanie silniejszy od niego. Bez trudu pchał Kenny'ego przed sobą, nie zważając na jego protesty.

Cały czas uśmiechał się jak maniak.

– Grubas – zabełkotał i dla podkreślenia tego słowa złapał Kenny'ego za fałdę tłuszczu i uszczypnął boleśnie. – Grubas, grubas, grubas, niedobrze. Od małpiej kuracji schudniesz.

– Tak, ale...

– Małpia kuracja – powtórzył mężczyzna.

W jakiś sposób znalazł się za plecami Kenny'ego. Oparł się o niego całym ciężarem i popchnął. Kenny przeleciał przez zasłonięte tkaniną drzwi i wpadł do pokoju na zapleczu.

Smród moczu był tu znacznie intensywniejszy, tak silny, że zebrało mu się na wymioty.

Wokół panowała nieprzenikniona ciemność i Kenny słyszał dobiegające ze wszystkich stron szuranie jakichś poruszających się w mroku stworzeń. „Szczury” – pomyślał przerażony.

Panicznie bał się szczurów. Pomacał ręką wokół i zwrócił się ku prostokątowi bladego światła. To były drzwi, przez które go wepchnięto.

Nim jednak zdążył do nich dotrzeć, usłyszał nagle za sobą wysokie skrzeczenie, ostre i szybkie jak

seria z karabinu maszynowego. Potem rozległ się drugi głos, po nim trzeci, aż wreszcie mrok wypełnił się straszliwym hałasem. Kenny zasłonił uszy dłońmi i wyszedł

chwiejnym krokiem na zewnątrz, ale w tej samej chwili poczuł, że coś otarło się o jego kark.

Coś ciepłego i włochatego.

– Aj! – krzyknął, wpadając do pokoju frontowego, gdzie potężny, nagi do pasa szaleniec czekał na niego cierpliwie. Kenny przeskakiwał z nogi na nogę, wrzeszcząc: – Aj, szczur, mam na plecach szczura. Niech pan go zdejmie, niech pan go zdejmie. – Próbował złapać stworzenie obiema rękami, ale było bardzo szybkie i przemieszczało się tak sprytnie, że nie mógł tego zrobić. Czuł je jednak. Było żywe i poruszało się. – Na pomoc, na pomoc! – wołał.

– Szczur!

Właściciel uśmiechnął się do niego i potrząsnął głową, wesoło kołysząc licznymi podbródkami.

– Nie, nie – powiedział. – To nie szczur, grubasie. To małpa. Dostałeś małpią kurację.

Podszedł do Kenny'ego, złapał go za łokieć i popchnął do sięgającego podłogi lustra wiszącego na ścianie. W pomieszczeniu było tak ciemno, że Kenny nie widział w lustrze prawie nic, pomijając fakt, że było za wąskie i obcinało mu oba ramiona. Mężczyzna odsunął

się, pociągnął za sznurek i pod sufitem zapaliła się jedna, naga żarówka. Kołysała się ona miarowo i oświetlenie zmieniało się raptownie. Kenny Dorchester zadrżał i popatrzył w lustro.

– Och! – zawołał. Na jego plecach siedziała małpa. Właściwie nie tyle na plecach, ile na ramionach. Owinęła nogi wokół grubej szyi Kenny'ego i złączyła je pod jego potrójnym podbródkiem. Czuł jej włosy, drapiące mu kark i ciepłe małpie łapki trzymające go za uszy.

To była maleńka małpka. Spoglądając w lustro, Kenny zauważył, że wyjrzała mu zza głowy i uśmiechnęła się szeroko. Miała bystre, ruchliwe oczka, szorstką, brązową sierść i – jak na gust Kenny'ego – stanowczo za dużo białych, błyszczących ząbków. Jej długi, chwytny ogon kołysał się niespokojnie niczym owłosiony wąż wyrastający z czaszki. Serce Kenny'ego waliło z siłą pneumatycznego młota. Przerazało go to miejsce, ten człowiek i jego małpa.

Wziął się jednak w garść i nakazał sobie zachować spokój. To nie był szczur. Mała małpka nie zrobi mu krzywdy. Sprytnie usiadła mu na ramionach. Na pewno była tresowana.

Właściciel pozwalał jej jeździć na sobie w ten sposób i kiedy Kenny przeleciał przez zasłonę, zapewne wzięła go za niego. Po ciemku wszyscy grubi ludzie wyglądają podobnie. Kenny sięgnął za siebie, próbując ściągnąć małpę, ale z jakiegoś powodu nie mógł jej złapać.

Odwracające strony lustro utrudniało mu tylko zadanie. Miotał się ociężale, aż cały pokój się trząsł, a meble podskakiwały za każdym razem, gdy lądował na podłodze, ale małpa mocno trzymała się jego uszu i nie zdołał jej ściągnąć. Wreszcie Kenny zwrócił się o pomoc do opasłego właściciela. Przyszło mu do głowy, że, biorąc pod uwagę sytuację, wykazał się ogromnym tupetem.

– To pana małpa. Niech mi pan pomoże ją zdjąć.

– Nie, nie – sprzeciwił się mężczyzna. – Od niej schudniesz. Małpia kuracja. Nie chcesz być chudy?

– Pewnie, że chcę – przyznał przygnębiony Kenny – ale to przecież absurd.

Czuł się zdezorientowany. Wyglądało na to, że siedząca na jego plecach małpa jest elementem małpiej kuracji. Nie widział w tym sensu.

– Idź – polecił mężczyzna. Uniósł rękę i zgasił światło nagłym szarpnięciem, od którego żarówka znowu zakołysała się jak szalona. Potem ruszył w stronę Kenny'ego, który cofnął się nerwowo. – Idź – powtórzył właściciel, ponownie łapiąc gościa za ramię. – Już, już. Dostałeś małpią kurację, to idź.

– Chwileczkę! – zawołał rozwścieczony Kenny. – Proszę mnie puścić! Proszę zabrać tę małpę, jasne? Nie chcę pańskiej małpy! Słyszał pan? Niech pan mnie nie pcha! Mam znajomych w policji, nie ujdzie to panu na sucho. Niech pan... – Wszystkie te protesty na nic się nie zdały. Właściciel był prawdziwą lawiną spoconego, cuchnącego, bladego ciała. Oparł

się całym ciężarem o Kenny'ego i popchnął opierającego się bezsilnie nieszczęśnika ku drzwiom. Kiedy je otworzył, znowu zadzwieczał dzwonek. Potem mężczyzna wypchnął

Kenny'ego w jasne światło słońca. – Nie zapłacę za to! – oznajmił stanowczo ten, chwiejąc się na nogach. – Ani centa! Słyszysz pan?

– Małpia kuracja jest bezpłatna – oznajmił z uśmiechem właściciel.

– Niech mi pan przynajmniej pozwoli zadzwonić po taksówkę – zażądał Kenny, ale było już za późno. Mężczyzna zamknął za sobą drzwi. Kenny podszedł do nich gniewnie i spróbował je otworzyć. Bezskutecznie. Były zamknięte na klucz. – Otwierać! – wrzasnął na cały głos. Nikt nie odpowiedział. Powtórzył okrzyk i uświadomił sobie nagle, że ktoś na niego patrzy. Odwrócił się. Po drugiej stronie ulicy, na ganku sklepu o zabitych deskami oknach, siedziało trzech starych meneli. Podawali sobie nawzajem butelkę w brązowej, papierowej torebce, przyglądając mu się nieufnie. Kenny Dorchester zdał sobie sprawę, że stoi na ulicy z małpą na plecach w pełnym świetle dnia. Na policzki wystąpił mu rumieniec. Poczł się bardzo głupio. – To moja małpka! – zawołał do meneli, rozciągając usta w wymuszonym uśmiechu. – Moje małe zwierzątko! – Nadal gapili się na niego. Kenny spojrział jeszcze raz ze złością na zamknięte drzwi i oddalił się, poruszając miarowo nogami. Musiał znaleźć jakieś odludne miejsce. Minał róg i znalazł wąski, ciemny zaułek między dwiema starymi, szarymi kamienicami czynszowymi. Wszedł do niego, dysząc gwałtownie. Usiadł ciężko na koszu na śmieci, wyjął chusteczkę i otarł czoło. Małpa przesunęła się leciutko i Kenny poczuł jej ruch.

– Złaż! – zawołał. Wyciągnął rękę, by złapać zwierzę za kark, ale znowu zdołało mu się wymknąć. Schował chusteczkę i zaczął obmacywać kark obiema rękami, ale w żaden sposób nie mógł chwycić małpy. W końcu poczuł się zmęczony i dał za wygraną. Zaczął się zastanawiać.

„Nogi!” – pomyślał. Nogi łączyły się pod jego brodą! Tak jest! Uniósł ręce, bardzo powoli i

spokojnie, wymacał kończyny małpy i otoczył je wielkimi, tłustymi łapskami.

Zaczerpnął głęboko tchu i spróbował je rozerwać gwałtownym ruchem, tak jak rozrywa się kurze obojczyki.

Małpa go zaatakowała.

Jedną łapką pociągnęła go boleśnie za lewe ucho, tak mocno, że Kenny miał wrażenie, iż zaraz mu je wyrwie, a drugą zaczęła okładać go po skroniach, wybijając szaleńczy rytm.

Kenny Dorchester pisnął z bólu i puścił nogi małpy. I tak zresztą nie udało mu się ich rozerwać, bez względu na wszelkie wysiłki. Małpa przestała go bić i puściła ucho. Kenny załkał, w połowie z ulgi, a w połowie z frustracji. Czuł się okropnie.

Siedział w brudnym zaułku przez całe wieki. Jego próby pozbycia się małpy skończyły się fiaskiem. Bał się wrócić na ulicę, gdzie ludzie będą go wytykać palcami, śmiać się z niego i wygłaszać pod nosem grubiańskie uwagi. Wystarczająco trudno było być grubasem. Nie chciał wiedzieć, o ile trudniej będzie stawiać czoło okrutnemu światu jako grubas z małpą na plecach. Postanowił, że będzie siedział na tym koszu na śmieci, dopóki on albo dosiadające go zwierzę nie umrze. Lepsze to niż narazić się na wstyd i śmieszność na ulicach.

Wytrwał w tym postanowieniu przez jakąś godzinę. Potem Kenny Dorchester poczuł się głodny. Może i ludzie będą się z niego śmiali, ale przecież robili to zawsze, zresztą, jakie to ma za znaczenie? Wstał i otrzepał się z pyłu. Małpa usadowiła się wygodniej na karku.

Zignorował ją. Postanowił, że poszuka pizzy pepperoni.

Okazało się to trudne. W okropnych slumsach, w jakich się znalazł, było pod dostatkiem meneli, groźnie wyglądających nastolatków oraz wypalonych albo zabitych deskami budynków, ale bardzo mało pizzerii. Nie było tu też taksówek. Kenny ruszył dziarskim krokiem przez główną ulicę, starając się zachować godność. Nie spoglądał na boki, zmierzając ku bezpieczniejszym dzielnicom tak szybko, jak tylko były go w stanie nieść krótkie, tłuste nogi. Dwukrotnie mijał budki telefoniczne i z radością wyciągał monetę, by wezwać jakiś środek transportu, ale w obu wypadkach okazało się, że telefon nie działa.

Kenny Dorchester pomyślał, że wandale wcale nie są lepsi od szczurów.

Wydawało mu się, że idzie tak całymi godzinami, nim w końcu trafił do obscurnego lokalu. Litery na oknie głosiły GRILL JOHNA, a neon nad drzwiami po prostu JEDZENIE.

Kenny świetnie znał to piękne słowo i rozpoznał je z odległości dwóch przecznic. Wabiło go niczym latarnia morska. Jeszcze nim wszedł do środka, uświadomił sobie, że jest bardzo mało prawdopodobne, by w takim miejscu podawano pizzę pepperoni, ale w tym momencie było mu już wszystko jedno.

Kiedy otwierał drzwi, na chwilę ogarnął go lęk, po części dlatego, że czuł się tu zupełnie nie na miejscu, ponieważ wszyscy pozostali klienci wyglądali na bandytów, a po części dlatego, że bał się,

iż nie zechcą go obsłużyć z uwagi na małą na plecach. Stojąc w wejściu, czuł się straszliwie skrępowany, przeszedł więc pośpiesznie do małego stolika stojącego w ciemnym rogu. Chuda, siwowłosa kelnerka w wyblakłym, różowym kombinezonie ruszyła w jego stronę. Kenny spuścił wzrok, bawiąc się nerwowo solą, pieprzem i keczupem. Bał się chwili, gdy kobieta podejdzie do niego i oznajmi: „Hej, tu nie wolno wprowadzać zwierząt!”.

Kelnerka jednak wyjęła tylko notes z kieszeni fartucha i stanęła nad Kennym z ołówkiem w ręku.

– Co pan zamówi? – zapytała.

Wstrząśnięty Kenny uniósł wzrok i uśmiechnął się. Zająknął się, a potem wziął się w garść i zamówił omlet z serem i podwójnym boczkim, wielką szklankę mleka i grzanek z cynamonem.

– Czy dodajecie do tego tarte ziemniaki smażone z cebulą? – zapytał z nadzieją, ale kelnerka potrząsnęła głową i odeszła. „Cóż za sympatyczna kobieta”, pomyślał Kenny, gdy czekał na posiłek, drąc na kawałki papierową serwetkę. „Cóż za cudowny lokal!”. W ogóle nie wspomniała o jego małpie. To była wielka uprzejmość z jej strony. Po chwili kelnerka przyniosła posiłek. – Ach, ach, ach – powiedział z zadowoleniem Kenny, gdy postawiła zamówione dania na plastikowym blacie. Był głodny jak wilk. Wziął w rękę grzanek z cynamonem i uniósł ją do ust. Małpa wyciągnęła łapkę i wyrwała mu grzanek z dłoni. Kenny Dorchester zamarł na moment w bezruchu, porażony zaskoczeniem. Jego pusta ręka zawisała przed ustami. Słyszał, jak małpa pochłania hałaśliwie grzanek. Potem, nim Kenny zdążył do końca zorientować się, co się dzieje, długi ogon wysunął się spod jego pachy, owinał się wokół szklanki mleka i porwał ją w mgnieniu oka. – Hej! – zawołał Kenny, ale był stanowczo zbyt wolny. Zza jego pleców dobiegło głośne siorbanie. Potem wyleciała zza nich szklanka.

Zdażył ją złapać, zanim się potłukła, i postawił nerwowo na stole. Ogon znowu wysunął się ukradkiem, sięgając po boczek. Kenny złapał za widelec, ale małpa była szybsza. Boczek zniknął, a zęby widelca wygięły się o plastikowy blat. Kenny zrozumiał, że to wyścigi.

Odrzucił wygięty widelec, i złapał łyżkę, żeby odkroić kawałek ociekającego serem omletu.

Pochylił się do przodu i uniósł łyżkę tak szybko, jak tylko potrafił. Małpa ponownie okazała się szybsza. Nie wiadomo skąd wysunęła się mała rączka i gdy łyżka dotarła do ust, została na niej tylko odrobina na wpół stopionego sera. Kenny znowu się pochylił i nabrał na łyżkę kolejny kęs, ale wszelkie jego wysiłki kończyły się niepowodzeniem. Małpa miała dwie ręce i ogon, a raz nawet porwała mu kęs maleńką stópką. Po krótkiej chwili posiłek zniknął bez śladu. Kenny Dorchester gapił się na pusty, otłuszczony talerz. Czuł, że oczy zachodzą mu łzami.

Nawet nie zauważył, kiedy przyszła kelnerka.

– Ale z pana głodomór – zauważyła, kładąc przed nim rachunek. – Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak szybko pochłoniął taki posiłek.

Kenny popatrzył na nią.

– Ja go nie zjadłem – sprzeciwił się. – Małpa wszystko pożarła!

– Jaka małpa? – zainteresowała się kelnerka. – Chyba nie wniósł pan tu ukradkiem żadnych zwierząt? Wydział zdrowia zabrania wnoszenia zwierząt do lokali.

– Jak to ukradkiem? – zirytował się Kenny. – Małpa siedzi na...

Nie zdążył dokończyć. Małpa uderzyła go w lewy policzek z taką siłą, że głowa odskoczyła mu w bok. Kenny pisnął z bólu i szoku.

– Nic panu nie jest? – zapytała wyraźnie zaniepokojona kelnerka. – Czy to jakiś atak?

– To nie żaden atak! – niemal krzyknął Kenny. – Ta cholerna małpa mnie uderzyła! Nie widziała pani?

– Ach – odparła kelnerka, odsuwając się o krok. – To była pana małpa. Wredne z nich stworzenia, prawda?

Sfrustrowany Kenny zabębnił pięściami o blat.

– Mniejsza z tym – mruknął. – To nieważne. – Wziął w rękę rachunek, jego małpa nie porwała, i wstał z krzesła. – Proszę – powiedział, wyjmując portfel. – Macie tu telefon, prawda? Mogłaby mi pani wezwać taksówkę?

– Jasne – zgodziła się kelnerka, podchodząc do kasy fiskalnej. Wszyscy w lokalu gapili się na Kenny'ego. – Nie ma sprawy – mruknęła pod nosem. – Zaraz wezwiemy dla pana taksówkę.

Poirytowany Kenny czekał przez dłuższą chwilę. Gdy taksówka wreszcie się zjawiała, kierowca nie powiedział nic na temat małpy. Zamiast pojechać do domu, Kenny kazał się zawieźć do swej ulubionej pizzerii, położonej trzy przecznice od jego mieszkania. Wpadł do lokalu i zamówił wielką pizzę pepperoni. Małpa pożarła wszystko, mimo że Kenny starał się wprowadzić ją w błąd, unosząc obie ręce jednocześnie do ust. Niestety, małpa też miała dwie łapki i była szybsza od niego. Gdy już pizza zniknęła, Kenny zastanowił się chwilę, zawołał

kelnerkę i zamówił drugą pizzę, tym razem dużą, z anchois. Wydawało mu się, że jest bardzo sprytny. Poza sobą samym nie znał nikogo, kto lubiłby pizzę z anchois. Doszedł do wniosku, że te słone rybki będą dla niego ratunkiem. Chcąc zwiększyć swe szanse, posypał pizzę warstwą ostrej papryki tak grubą, że mogłaby spowodować spory pożar. Czując się jak zwycięzca, spróbował odkroić kawałek.

Małpa lubiła pizzę z anchois i mnóstwem ostrej papryki. Kenny Dorchester omal się nie rozpląkał.

Z pizzerii poszedł do Połcia, a następnie kolejno do dobrej greckiej restauracji, miejscowego McDonalda i cukierni, w której robiono znakomite czekoladowe ekierki. Był

przekonany, że prędzej czy później małpa naje się do syta. W końcu była bardzo mała. Ile mogła w sobie pomieścić? Postanowił, że będzie zamawiał posiłki tak długo, aż małpa osiągnie granice swych możliwości albo pęknie i zakończy żywot.

Wydał tego dnia w restauracjach ponad dwieście dolarów.

I nie zjadł absolutnie nic.

Małpa wydawała się workiem bez dna. Jeśli jej pojemność miała granice, z pewnością wykraczały one poza możliwości portfela Kenny'ego. W końcu był zmuszony uznać się za pokonanego. Małpy nie można było pokonać przez przeżarcie.

Zaczął się zastanawiać nad inną taktyką i w końcu wpadł na pewien pomysł. Małpy były głupie, nawet niewidzialne małpy o nienasyconym apetycie. Uśmiechając się nieśmiało, ruszył w stronę najbliższego supermarketu. Kupił tam pudełko bananowego budyniu (wydawało mu się, że to odpowiedni wybór) i puszkę trucizny na szczury. Wrócił do domu, nucąc wesołą melodię, i zabrał się do robienia budyniu. Dodał do niego sporą dawkę trutki, która szczęśliwie była całkowicie bezwonna. Budyń pachniał cudownie. Kenny przelał go do miseczek, żeby wystygł, i na jakąś godzinę włączył telewizor. Potem wstał nonszalancko, podszedł do lodówki, wyjął z niej budyń i wziął sobie wielką łyżkę. Usiadł z powrotem przed telewizorem, nabrał na łyżkę sporą grudkę budyniu i uniósł ją do otwartych ust. A potem się zatrzymał. Czekał tak przez dłuższy czas.

Małpa nie zareagowała.

Kenny pomyślał, że może w końcu się najadła. Odstawił zatruty budyń i popędził do kuchni. Znalazł na półce pudełko waniliowych wafli oraz kilka zapomnianych ciasteczek Fig Newton.

Małpa pożarła wszystko.

Po policzku Kenny'ego spłynęła łza. Wyglądało na to, że małpa pozwoli mu zjeść tyle zatrutego budyniu, ile tylko zapragnie, ale nie da mu tknąć niczego poza nim. Wyciągnął bez przekonania rękę i znowu spróbował złapać zwierzę, myśląc, że sytość spowolni jego ruchy.

Była to jednak płonna nadzieja. Małpa wymknęła się mu, a gdy Kenny nie dawał za wygraną, ugryzła go w palec. Wrzasnął z bólu i cofnął rękę. Palec krwawił. Kenny go possał. Na to przynajmniej małpa mu pozwoliła.

Umył i zabandażował palec, a potem wrócił do pokoju i usiadł ciężko przed telewizorem.

Czuł się zmęczony i pokonany. Nadawano powtórkę *The Galloping Gourmet*, starego programu poświęconego gotowaniu. Kenny nie był w stanie na to patrzeć. Wziął w rękę pilota i zmienił kanał. Przez całe godziny gapił się tępo na ekran, pogrążony w rozpacz. Płakał, gdy nadawano reklamy produktów spożywczych. Wreszcie, gdy była już późna noc, jedno z często nadawanych ogłoszeń usług publicznych skłoniło go do ruszenia się z miejsca. „Tak jest” – pomyślał. Musi zwrócić się do innych, poprosić ich o pomoc.

Uniósł słuchawkę i zadzwonił do telefonu zaufania.

Kobieta, która odebrała, miała miły, sympatyczny i bardzo piękny głos. Kenny zaczął jej opowiadać o małpie, która nie pozwala mu jeść, o tym, że nikt jej nie widzi... ale nim zdążył

się rozkręcić, małpa zdzieliła go w skroń. Kenny jęknął.

– Co się stało? – zapytała kobieta.

Małpa pociągnęła go za ucho. Kenny starał się ignorować ból i kontynuować opowieść, ale zwierzę nie przestawało go dręczyć, aż wreszcie zadrzał, załkał i odłożył słuchawkę.

„To koszmar – pomyślał – straszliwy koszmar”. Podniósł się ciężko i powłókł do łóżka, licząc na to, że rano wszystko wróci do normy, a małpa okaże się tylko okropnym snem, z pewnością wywołanym przez niestrawność.

Przekonał się jednak, że bezlitosne zwierzę nie pozwoli mu nawet wyspać się porządnie.

Był przyzwyczajony do spania na wznak, z rękami złożonymi równo na brzuchu. Ale kiedy się rozebrał i spróbował położyć w tej pozycji, pięści stworzenia spadły na jego biedną głowę niczym jakiś szalony, kudłaty grad. Małpa najwyraźniej nie zamierzała pozwolić, by ciężkie cielsko Kenny’ego wgniotło ją w poduszkę. Nieszczęśnik pisnął z bólu i przetoczył się na brzuch. Było mu w tej pozycji bardzo niewygodnie i miał trudności z zaśnięciem, ale dopiero wtedy zwierzę dało mu spokój.

Rankiem Kenny Dorchester budził się bardzo powoli. Policzek miał wduszony w poduszkę, a jego górna prawa kończyna nadal spała. Bał się poruszyć. „To był sen” –

powtarzał sobie. „Nie ma żadnej małpy, cóż to za głupi pomysł, małpa... też coś. To wszystko przez to, że Kościotrup Moroney opowiedział mu o »małpiej kuracji«. Zasnął z tą myślą i stąd właśnie wziął się koszmar. Nie czuł na plecach zupełnie nic. To był taki sam poranek jak każdy inny. Otworzył rozspane oko. Sypialnia wyglądała zupełnie normalnie. Nadal jednak bał się poruszyć. Miło było tak sobie leżeć bez małpy. Chciał się trochę nacieszyć tym wrażeniem. Przez bardzo długi czas leżał zupełnie nieruchomo, patrząc na zmieniające się powoli na elektronicznym zegarku cyfry.

Aż wreszcie zaburczało mu w żołądku.

– Nie ma żadnej małpy! – powiedział głośno i usiadł w łóżku.

Poczuł, że małpa się przesunęła.

Kenny zadrzał. Mało brakowało, by znowu się rozplakał. Zapanował jednak z wysiłkiem nad sobą. Powiedział sobie, że żadna małpa nie pokona Kenny’ego Dorchiestera. Skrzywił się, włożył pantofle i poczłapał do łazienki.

Kiedy się golił, małpa wyglądała ostrożnie zza jego głowy. Łypnął na nią groźnie w łazienkowym lustrze. Wydawało się, że trochę urosła. Nie było w tym nic zaskakującego, biorąc pod uwagę, ile wczoraj zjadła. Bawił się myślą o poderżnięciu jej gardła, ale doszedł

do wniosku, że elektryczna maszynka do golenia Philishave nieszczególnie się do tego nadaje. A nawet gdyby użył do tego celu noża, próba zadania nim ciosu za własnymi plecami przy wykorzystaniu lustra byłaby raczej niebezpieczna.

Przed wyjściem z łazienki Kenny'emu przyszło nagle do głowy, żeby się zważyć.

Wynik pokazał się natychmiast. 166 kilogramów. „Tyle samo, co wczoraj” – pomyślał.

Małpa nic nie ważyła. Zmarszczył brwi. Nie, coś tu się nie zgadzało. Nawet tak mała małpka z pewnością ważyła z kilogram albo dwa, ale pewnie jej ciężar równoważyła waga utracona przez Kenny'ego. Doszedł do wniosku, że musiał nieco schudnąć, bo przez cały dzień małpa nie pozwalała mu nic zjeść. Zszedł z wagi i pospiesznie wszedł na nią ponownie, żeby sprawdzić wynik. 166 kilogramów. Kenny był przekonany, że stracił trochę na wadze. Być może jednak z jego męczarni wyniknie coś pozytywnego. Ta myśl dziwnie go pocieszyła.

Podczas śniadania poczuł się jeszcze lepiej. Po raz pierwszy od czasu, gdy zaczął nosić małpę, udało mu się przełknąć odrobinę jedzenia.

Po przyjściu do kuchni wahał się między francuskimi grzankami a jajecznicą na boczku, ale nie trwało to długo, gdyż uświadomił sobie, że i tak nie zdoła skosztować żadnej z tych potraw. Zawładnął nim posępny fatalizm. Kenny wyjął miskę i wypełnił ją płatkami kukurydzianymi z mlekiem. Uznał, że małpa i tak wszystko zje, dlatego nie ma sensu się tym przejmować.

Uniósł łyżkę do ust tak szybko, jak tylko mógł. Małpa mu ją wyrwała. Kenny wiedział, że tak się stanie, spodziewał się tego, lecz mimo to gdy stworzenie zabrało łyżkę, ogarnął go nagły, straszliwy żal.

– Nie – sprzeciwił się bezsilnie. – Nie, nie, nie.

Słyszał, jak płatki chrupią w paskudnej małpiej paszczy, czuł spływające mu po karku mleko. Gdy spojrział na płatki, w oczach wezbrały mu łzy. Były tak blisko, a jednocześnie tak daleko.

Nagle Kenny Dorchester wpadł na pewien pomysł.

Pochylił się i zanurzył twarz w misce.

Małpa ciągnęła go za ucho, wrzeszczała i okładała po skroniach, ale Kenny nie dał za wygraną. Wciągał radośnie mleko z taką ilością płatków, jaką tylko mógł pomieścić w ustach.

Nim rozgniewane zwierzę wyciągnęło ogon i zrzuciło miskę na podłogę, Kenny zdołał

wypełnić całe usta wilgotną substancją. Policzki miał wydęte, mleko spływało mu po brodzie, a jeden płatek w jakiś sposób dostał się mu do nosa, ale Kenny czuł się jak w niebie. Żuł i przełykał tak szybko, że omal się udławił.

Kiedy skończył, oblizwał wargi i wstał triumfalnie z krzesła.

– Ha, ha – zawołał. – Ha, ha, ha.

Wrócił z wielką godnością do sypialni i ubrał się, uśmiechając się szyderczo do widocznej w wielkim lustrze małpy. Pokonał ją.

W następnych dniach i tygodniach Kenny Dorchester popadł w nową rutynę, przystosował się z niechęcią do swego pasażera. Okazało się to łatwiejsze, niż się tego spodziewał... pomijając posiłki. Gdy nie próbował wkładać pożywienia do ust, mógł niemal całkowicie zapomnieć o małpie. W pracy siedziała spokojnie na jego plecach, podczas gdy Kenny przekładał swoje papiery albo rozmawiał przez telefon. Koledzy jej nie widzieli albo nie wspominali o niej przez uprzejmość. Jedyne nieprzyjemny incydent wydarzył się pewnego dnia podczas przerwy na kawę, gdy Kenny nieopatrznie poszedł do sklepiku kupić bułkę z serem. Małpa zeżarła ich dziewięć, nim Kenny zdołał się oddalić chwiejnym krokiem, a sprzedawca upierał się, że Kenny je zjadł, kiedy on odwrócił się plecami.

Jeśli unikał luster – a Kenny Dorchester robił to teraz równie konsekwentnie jak najskrupulatniejszy wampir – mógł przez większą część dnia zapomnieć o małpie. Miał tylko jeden kłopot, który jednak powtarzał się trzy razy dziennie: podczas śniadania, obiadu i kolacji. Małpa przypominała wówczas o sobie brutalnie i Kenny musiał jakoś sobie z tym radzić. Z upływem tygodni nauczył się stopniowo zamawiać potrawy, które można było podawać w miskach. Umożliwiało mu to praktykowanie tego, co nazywał „manewrem Kellogga”. Dzięki tej metodzie codziennie udawało mu się spożyć przynajmniej parę kęsów.

To jednak również było źródłem problemów. Gdy stosował manewr Kellogga w miejscu publicznym, ludzie gapili się na niego dziwnie, a czasami wygłaszali nieuprzejme uwagi na temat jego manier. Gdy w barze, gdzie zwykle kupował chili, wsadził twarz w swą porcję, właściciel pomyślał, że Kenny dostał ataku serca, a potem był na niego naprawdę wściekły.

Innym razem oparzył sobie twarz w gorącej zupie i wyglądał później, jakby ciągle się czerwienił. Miarka się przebrała, gdy wyrzucono go z jego najulubieńszej restauracji podającej owoce morza tylko za to, że zanurzył twarz w zupie rakowej i zaczął ją hałaśliwie chleptać. Kenny stał potem na ulicy i wymyślał głośno obsłudze, przypominając, ile pieniędzy wydał tu przez lata. Od tej pory jadał tylko w domu.

Choć manewr Kellogga okazał się umiarkowanie skuteczny, Kenny Dorchester nadal tracił dziewięć dziesiątych każdego posiłku, a niekiedy całość. Z początku cały czas czuł się głodny, często popadał w depresję i ciągle układał plany mające mu pomóc w pozbyciu się małpy. Jedyne problem z tymi planami polegał na tym, że żaden nie okazał się skuteczny.

Pewnej soboty Kenny wybrał się do małpiarni w zoo, licząc na to, że zwierzę zeskoczy z jego pleców, żeby pobawić się ze współplemieńcami albo popędzić za jakąś atrakcyjną małpą przeciwnej płci. Ale gdy tylko wszedł do budynku, wszystkie uwięzione w nim zwierzęta natychmiast podbiegły do krat i zaczęły skrzeczeć, wrzeszczeć, pluć i podskakiwać jak szalone. Jego małpa odwdzieczyła się tym samym, a kiedy niektóre ze zwierząt w klatkach zaczęły rzucać skorupami od fistaszków oraz innymi odpadkami, Kenny zasłonił uszy rękami i uciekł. Innym razem udał się do miejscowego baru i zamówił kilka kolejek whisky z piwem

– jak rozumiał, była to szczególnie zabójcza kombinacja – licząc na to, że jeśli małpa się upije, będzie ją mógł bez trudu zdjąć. Eksperyment miał raczej niefortunne konsekwencje.

Małpa piła kolejne drinki tak szybko, jak tylko Kenny zdołał je zamawiać, ale po trzecim zaczęła

bębnić w szczyt jego głowy w rytm dobiegającej z szafy grającej muzyki disco.

Następnego ranka to Kenny obudził się z bólem głowy. Małpa czuła się dobrze.

Po pewnym czasie dał sobie spokój z tymi próbami. Kolejne niepowodzenia go zniechęciły, a poza tym przestało mu się to wydawać aż tak ważne. Po pierwszym tygodniu rzadko czuł się głodny. Nadszedł krótki okres słabości, podczas którego często dopadały go zawroty głowy, a potem Kennym zawładnęło coś w rodzaju euforii. Czuł się wspaniale i, co jeszcze lepsze, chudł!

Prawdę mówiąc, waga tego nie wykazywała. Wchodził na nią co rano i za każdym razem pokazywała 166. Działo się tak dlatego, że ważył nie tylko siebie, lecz również małpę. Kenny wiedział, że chudnie, czuł znikające kilogramy i centymetry. Niektórzy z kolegów w pracy również to zauważali. Uśmiechał się wówczas radośnie i przyznawał, że to prawda. Kiedy go pytali, jak to osiągnął, mrugał znacząco i odpowiadał:

– To małpia kuracja! Tajemnicza małpia kuracja!

Nie chciał powiedzieć nic więcej. Raz spróbował im to wyjaśnić, ale małpa zdzieliła go tak mocno, że o mało nie odpadła mu głowa. Znajomi Kenny'ego zaczęli szeptać o dziwnych spazmach.

Wreszcie nadszedł dzień, gdy musiał poprosić w pralni o zwężenie wszystkich swoich spodni o kilka centymetrów. Pomyślał, że to jedna z najpiękniejszych chwil w jego życiu.

Cała radość opuściła go jednak, gdy wyszedł z pralni i zobaczył własne odbicie w szybie.

Dawno już usunął z domu wszystkie lustra, dlatego widok małpy był dla niego szokiem.

Urosła. Nie była już mała. Siedziała przygarbiona na jego plecach niczym jakiś złowrogi, zdeformowany szympans. Jej uśmiechnięta twarz wystawała mu ponad głowę, zamiast zza niej wyglądać. Małpa miała rzadkie, brązowe włosy i była obrzydliwie otyła. Jej szerokość niemal dorównywała wysokości, a długi ogon opadał do samej ziemi. Przerażony Kenny gapił

się na nią, a ona uśmiechnęła się do niego. Pomyślał, że nic dziwnego, iż ostatnio bolały go plecy.

Wrócił powoli do domu. Jego kroki nie były już takie żwawe. Musiał się zastanowić.

Kilka okolicznych psów podążało za nim, szczekając na małpę. Kenny je ignorował. Dawno już się zorientował, że psy ją widzą, podobnie jak małpy w zoo. Podejrzewał, że to samo dotyczy pijanych. Tego wieczoru, gdy poszedł do baru, jakiś facet gapił się na niego bardzo długo. Rzecz jasna, jego uwagę mogły przyciągnąć te znikające drinki.

Po powrocie do mieszkania Kenny Dorchester położył się na brzuchu na kanapie, wsunął

sobie poduszkę pod brodę i włączył telewizor. Nie zwracał jednak uwagi na program. Starał

się rozwikłać zagadkę.

Nawet reklamy Pizza Hut nie przyciągały jego uwagi, choć Kenny mruzczał z roztargnieniem: „Ach”, jak należało robić na widok kawałka pizzy, z którego zwisały długie nitki sera.

Kiedy program się skończył, Kenny wstał, wyłączył telewizor i usiadł za stołem jadalnym. Znalazł kartkę i ogryzek ołówka, a potem bardzo ostrożnie napisał drukowanymi literami równanie i wpatrzył się w nie z namysłem.

$JA + MAŁPA = 166 \text{ KG}$

Przyszło mu do głowy, że to równanie ma pewne niepokojące implikacje. Im dłużej je rozważał, tym mniej mu się podobały. Z pewnością tracił na wadze i nie należało tego lekceważyć, ale złowroga trwałość tego równania sugerowała, że nigdy nie będzie mu dane cieszyć się większością korzyści tradycyjnie kojarzonych z chudnięciem. Bez względu na to, jak wielkiej ilości tłuszczu się pozbędzie, nadal będzie dźwigał 166 kilogramów i to obciążenie nie ulegnie zmianie. A jeśli chodzi o perspektywę zostania szczupłym, dziarskim, atrakcyjnym dla kobiet mężczyzną, to jak mógł na to liczyć, dopóki nie pozbędzie się małpy?

Wyobraził sobie, jakby to wyglądało, gdyby umówił się z kobietą na kolację, i zadrżał na tę myśl.

– Czym to się skończy? – zapytał na głos.

Małpa przesunęła się na jego plecach i wydała z siebie cichy, odrażający śmieszek.

Kenny wydał wargi w wyrazie stanowczej dezaprobaty. Doszedł do wniosku, że tak dalej być nie może. Postanowił, że jutro uda się do źródła problemu. Z tą myślą położył się spać.

Nazajutrz, po pracy, Kenny Dorchester złapał taksówkę i wrócił do podejrzanej dzielnicy, gdzie poddano go małpiej kuracji.

Sklepu nie było.

Kenny siedział na tylnym siedzeniu – tym razem był rozsądniejszy i nie wysiadł, a poza tym dał taksówkarce z góry spory napiwek – i mrugał powiekami ze zdziwienia. Z jego ust wyrwał się cichy, bulgoczący jęk. Wiedział, że to właściwy adres, nadal jeszcze miał kartkę, która go tu zaprowadziła. Gdzie jednak podziela się brudna witryna z wyblakłą reklamą cocacoli, a także jeden z dwóch nieczynnych sklepów, między którymi się znajdowała? Teraz był

tu tylko jeden duży sklep. Jego wnętrze wypełniało zielsko, śmieci i potłuczone cegły.

– O nie – wybełkotał Kenny. – O nie.

– Nic panu nie jest? – zaniepokoiła się kobieta.

– Nic – mruknął. – Niech... niech pani chwilę zaczeka. Muszę się zastanowić.

Wsparł głowę na dłoniach. Bał się, że zaraz może go rozboleć. Nagle dopadła go słabość i zawroty głowy. Był też bardzo głodny. Taksometr cały czas działał, taksówkarka gwizdała, a Kenny się

zastanawiał. Ulica wyglądała tak samo, jak ją zapamiętał, pomijając brakującą witrynę. Była tak samo brudna, na ganku nadal siedzieli starzy menele i...

Kenny opuścił szybę.

– Hej, proszę pana! – zawołał do jednego z meneli. Mężczyzna spojrzał na niego. – Niech pan podejdzie! – Staruszek powlókł się ku niemu ostrożnie. Kenny wyciągnął z portfela banknot dolarowy i wepchnął go w dłoń menela. – Masz, przyjacielu – powiedział. – Kup sobie za to dobrego Thunderbirda, jeśli masz ochotę.

– Czemu pan mi to daje? – zapytał podejrzliwie staruszek.

– Chcę, żeby mi pan odpowiedział na jedno pytanie. Co się stało z budynkiem, który stał

tu... – Kenny wyciągnął rękę – ...parę tygodni temu.

Mężczyzna szybko schował banknot do kieszeni.

– Tu już dawno nie ma żadnego budynku – odparł.

– Tego się bałem – stwierdził Kenny. – Czy jest pan tego pewien? Byłem tu nie tak dawno i wyraźnie pamiętam...

– Nie ma żadnego budynku – potwierdził stanowczo menel. Odwrócił się i odszedł, ale po paru krokach zatrzymał się i spojrzał za siebie. – Pan jest jednym z tych grubasów –

stwierdził oskarżycielskim tonem.

– Co pan wie o tych... hm... ludziach z nadwagą?

– Ciągłe się tu wałęsają. To świry. Krzyczą do nikogo, bawią się z jakimiś zwierzętami.

Aha, pamiętam pana. Faktycznie jest pan jednym z tych grubasów. – Łypnął na Kenny'ego z wyraźnym zdziwieniem. – Ale widzę, że stracił pan trochę sadła. To świetnie. Dziękuję za dolara.

Kenny Dorchester śledził wzrokiem menela, który wrócił na ganek i wdał się w ożywioną rozmowę z kolegami. Westchnął ciężko, zamknął okno, popatrzył jeszcze raz na miejsce po witrynie i powiedział taksówkarce, żeby zawiozła go do domu. Jego i małpę.

Mijały kolejne tygodnie. Kenny Dorchester żył jak w transie. Chodził do pracy, przerzucał papiery, mamrotał uprzejme frazesy do współpracowników, walczył i kombinował, jak przełknąć choć odrobinę żywności, unikał luster. Waga wciąż pokazywała 166 kilogramów. Tłuszcz zniknął błyskawicznie. Policzki zrobiły się obwisłe, również wokół

pasa zwisały mu fałdy skóry, wiotkiej i żałosnej jak zużyta prezerwatywa. Zdarzało mu się zemdleć z głodu. Potykał się i chwiał na nogach, chodząc po ulicach, gdy jego coraz cieńsze i słabsze nogi nie były już w stanie dźwigać rosnącej wciąż małpy. Widział coraz słabiej. W

pewnej chwili wydało mu się nawet, że zaczyna tracić włosy, ale przynajmniej to okazało się fałszywym alarmem. To małpa je gubiła, dzięki Bogu. Na meblach pełno było jej sierści.

Nawet codzienne odkurzanie nic nie pomagało. Wkrótce Kenny dał sobie spokój ze sprzątaniami. Brakowało mu do tego energii. Szczerze mówiąc, brakowało mu energii do wszystkiego. Nawet wstanie z krzesła było teraz dla niego trudnym przedsięwzięciem.

Gotowanie obiadu stało się straszliwą udręką, ale i tak to robił, bo małpa biła go boleśnie, jeśli jej nie nakarmił. Nic nie miało już znaczenia dla Kenny'ego Dorchestera. Nic poza straszliwą opowieścią, którą co rano powtarzała mu waga, oraz równaniem, które przylepił

taśmą klejącą do ściany łazienki.

JA + MAŁPA = 166 KG

Zastanawiał się, jak wielką część tej sumy stanowi teraz JA, a jak wielką MAŁPA, właściwie jednak nie chciał tego wiedzieć. Pewnego dnia przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Bez większego przekonania spróbował złapać małpę za nogi, kierowany wątłą nadzieją, że tusza spowolniła jej ruchy i będzie mógł ją złapać, a potem strącić z pleców. Nie wymacał jednak pod brodą nic oprócz własnego bladego ciała. Nigdzie nie było nóg małpy, choć Kenny nadal czuł jej straszliwy, przygniatający ciężar. Ogarnęło go niejasne zdziwienie.

Poklepał się po szyi i piersi, a potem przyjrzał się sobie, zauważając mimochodem, że widzi własne stopy. Zadał sobie pytania, od jak dawna stały się widoczne. Pomyślał, że wyglądają zupełnie normalne, choć nogi, z których wyrastają, są przeraźliwie chude.

Jego umysł wrócił powoli do zagadnienia, które przed chwilą rozważał: co się stało z nogami małpy? Zmarszczył brwi i zaczął się zastanawiać, próbując rozwikłać ten problem.

Nic jednak nie przychodziło mu do głowy. W końcu wsunął odkryte przed chwilą na nowo stopy w pantofle i powlókł się do szafki, w której schował wszystkie lustra. Zamknął oczy, wsadził rękę do środka i znalazł duże, sięgające podłogi lustro, które wisiało kiedyś w jego sypialni. Było długie i szerokie. Kierując się wyłącznie dotykiem, Kenny wyjął je, przeniósł

dwa metry dalej i oparł z wysiłkiem o ścianę. Potem wstrzymał oddech i otworzył oczy.

Ujrzał w lustrze posiwiąłego, chudego jak szkielet mężczyznę, który garbił się i wyglądał

niezdrowo. Na jego plecach siedział uśmiechnięty stwór wielkości goryla. Bardzo opasłego goryla. Miał wydłużony, jasny, podobny do węża ogon i potężne, długie ramiona. Był biały jak czerw i całkowicie bezwłosy. Nie miał nóg. Był... przytwierdzony do Kenny'ego, wyrastał

wprost z jego pleców. Połowę jego twarzy zajmował straszliwy uśmiech. W gruncie rzeczy, stwór bardzo przypominał otyłego właściciela zakładu oferującego małpią kurację. Dlaczego Kenny dotąd tego nie zauważył? To było oczywiste.

Kenny Dorchester odwrócił się od lustra, ugotował małpie sutą kolację i położył się spać.

Nocą przyśnił mu się początek tego wszystkiego – spotkanie z Kościotrupem Moroneyem w Połciu. W jego koszmarze na plecach Moroneya siedział wielki, złowrogi, biały stwór, który pochłaniał kolejne porcje żeberek, ale Kenny uprzejmiem udawał, że go nie widzi. Obaj z Kościotrupem pograżyli się w ożywionej rozmowie. Nagle istocie zabrakło żeberek, złapała więc Kościotrupa za rękę i zaczęła obgryzać mu dłoń. Kości chrupały wesoło, a Moroney nie przestawał mówić. Gdy monstrum pochłonęło kończynę aż do łokcia, Kenny obudził się z krzykiem. Pokrywał go zimny pot, a do tego zlał się w łóżko.

Podniósł się z wielkim wysiłkiem i powlókł do toalety, gdzie wymiotował sucho przez dziesięć minut. Małpa, zła, że ją obudził, od czasu do czasu wymierzała mu niedbały cios.

Nagle w oczach Kenny’ego Dorchestera pojawił się ledwie widoczny blask.

– Kościotrup – wyszeptał mężczyzna. Wrócił pośpiesznie do sypialni na łokciach i kolanach, podniósł się i włożył ubranie. Była trzecia nad ranem, ale wiedział, że nie ma czasu do stracenia. Znalazł adres w książce telefonicznej i wezwał taksówkę.

Kościotrup Moroney mieszkał w wysokim, nowoczesnym wieżowcu zbudowanym nad rzeką. Srebrne, lustrzane ściany gmachu lśniły jasno w blasku księżyca. Kenny wszedł

chwiejnym krokiem do środka. Portier na szczęście spał na stanowisku. Kenny przeszedł

obok niego na palcach, dotarł do wind i wjechał na ósme piętro. Małpa na jego plecach zaczęła się poruszać, wyraźnie zaniepokojona i podenerwowana.

Kenny drżącym palcem nacisnął okrągły, czarny przycisk dzwonka wprawiony w drzwi mieszkania Moroneya tuż pod wizjerem. Rozległ się głośny, melodyjny dźwięk, mącący poranną ciszę. Kenny oparł się o dzwonek. Dźwięki nie cichły. W końcu usłyszał kroki, ciężkie i groźne. Klapka judasza uchyliła się i zamknęła z powrotem. Potem drzwi się otworzyły.

W mieszkaniu panował mrok, ale przeciwległa ściana składała się wyłącznie ze szkła, a napływający do środka blask księżyca rozpraszał nieco ciemność. Na tle gwiazd i miejskiej łuny rysowała się sylwetka mężczyzny, który otworzył drzwi. Był on ogromny, obrzydliwie gruby, a jego skóra miała niezdrową, białą barwę grzyba. Małe, ciemne oczka skrywały się głęboko w fałdach szerokiej, nalanej twarzy. Nie miał na sobie nic poza parą obszernych szortów w paski. Jego zwisające piersi zakołysały się, gdy przestąpił z nogi na nogę. A kiedy się uśmiechnął, połowę jego twarzy wypełniły zęby. Wielki półksiężyc zębów. Zareagował

uśmiechem na widok Kenny’ego i jego małpy. Gościowi zrobiło się niedobrze. Stojący w drzwiach stwór z pewnością ważył dwa razy więcej od tego, którego dźwigał na plecach.

Kenny zadrzał.

– Gdzie on się podział? – wyszeptał słabo. – Gdzie jest Kościotrup? Co z nim zrobiłeś?

Stwór ryknął śmiechem tak potężnym, że aż jego zwisające piersi się zakołysały. Małpa na plecach Kenny’ego również się roześmiała. Jej śmiech był wyższy i słabszy, ostry jak nóż.

Złapała dźwigającego ją mężczyznę za ucho i pociągnęła boleśnie. Nagle Kenny'ego Dorchestera ogarnął ogromny strach i równie potężny gniew. Zebrał wszystkie siły, jakie pozostały w jego wychudłym ciele, i jakimś cudem zdołał się przepchnąć obok opasłego kolosa, który zagrażał mu drogę. Wpadł chwiejnym krokiem do środka.

– Kościotrup – zawołał. – Gdzie jesteś, Kościotrup? To ja, Kenny.

Odpowiedzi nie było. Przechodził z jednego pokoju do drugiego. W mieszkaniu panował straszliwy brud i bałagan. Nigdzie nie było śladu Kościotrupa Moroneya. Gdy zdyszany Kenny wrócił do salonu, mała poruszyła się gwałtownie, zbijając go z nóg. Grzmotnął ciężko na podłogę. Przeszył go ból w kolanach. Skaleczył sobie dłoń o wykonany z chromowanego szkła blat stolika do kawy. Rozpłakał się.

Usłyszał, że drzwi się zamknęły i mieszkający tu stwór ruszył powoli w jego stronę.

Kenny zamrugał powiekami, żeby usunąć łzy z oczu, i wbił spojrzenie w dwa potężne odnóża, blade i pełne zwisających fałdów tłuszczu. Uniósł wzrok i poczuł się, jakby patrzył

na górski szczyt. Gdzieś na wyżynach majaczyły straszliwe, drwiące zęby.

– Gdzie on się podział? – wyszeptał Kenny Dorchester. – Co zrobiłeś z biednym Kościotrupem?

Uśmiech nie zmienił się ani trochę. Stwór wyciągnął mięsistą łapę o palcach grubych jak kiełbasy i złapał za pasek workowatych szortów. Ściągnął je niezgrabnie i opadły na podłogę wokół jego stóp na podobieństwo spadochronu.

– O nie – wyszeptał Kenny Dorchester.

Stwór nie miał genitaliów. Między jego nogami zwisał – niemal sięgając podłogi, teraz, gdy już uwolnił się z zapaskudzonych szortów – pomarszczony worek skóry, długi i cienki.

Wyrastał z krocza stworzenia. Na oczach przerażonego Kenny'ego worek poruszył się słabo.

Fałdy skóry oddzieliły się na moment od siebie, tworząc maleńkie rączki i nóżki.

Istota otworzyła oczy.

Kenny Dorchester krzyknął przeraźliwie. Zerwał się z podłogi i odskoczył od uśmiekniętego monstrum, które stało pośrodku pokoju. Wisząca między jego nogami istota, która była ongiś Kościotrupem Moroneyem, uniosła żałośnie cienkie ramionka w błagalnym geście.

– O nieeeee – wyjęczał Kenny. Szłochał i tańczył jak szaleniec, mimo że dźwigał na plecach ogromny ciężar małpy. Płasał wkoło w ciemności, skąpany w blasku księżyca, szukając jakiejś drogi ucieczki z tego oblędu.

Za zajmującym całą ścianę oknem błyszcząły kusząco światła miasta.

Kenny zatrzymał się, dysząc ciężko, i popatrzył na nie. Małpa z pewnością wyczuła w jakiś sposób, co zamierza zrobić, gdyż nagle zaczęła okładać go wściekle, ciągnąc za uszy i zasypywać mu głowę okrutnymi ciosami. Ale Kenny Dorchester nie zwracał na to uwagi. Z

niemalże błogim uśmiechem zebrał resztki sił i pognął na łeb na szyję w stronę księżycowego blasku.

Szyba rozprysła się na milion błyszczących kawałków, a Kenny uśmiechał się po drodze w dół.

* * *

To zapach uzmysłowił mu, że żyje, woń środka odkażającego, oraz dotyk nakrochmalonej pościeli, na której leżał. „Jestem w szpitalu” – pomyślał, spowity w mgiełkę bólu. Szpital. Miał ochotę się rozplakać. Dlaczego nie zginął? Dlaczego, dlaczego? Otworzył

oczy i spróbował coś powiedzieć.

Natychmiast zjawiała się pielęgniarka. Zatrzymała się przy nim, dotknęła jego czoła i obrzuciła go zatroskanym spojrzeniem. Kenny chciał błagać ją o to, żeby go zabiła, ale nie mógł wykrztusić ani słowa.

Odeszła i po chwili wróciła w towarzystwie paru innych ludzi.

– Wyjdzie pan z tego, panie Dorchester, ale czeka pana długi pobyt u nas – oznajmił

młody, puciołowaty mężczyzna. – Jest pan w szpitalu. Miał pan wielkie szczęście. Spadł pan z ósmego piętra. Powinien pan już nie żyć.

„Nie chcę żyć” – pomyślał Kenny. Ukształtował te słowa w ustach z wielką starannością, ale wydawało się, że nikt ich nie słyszy. „Może małpa zawładnęła mną całkowicie” – myślał.

Może nie jestem już w stanie mówić.

– On chce coś powiedzieć – zauważyła pielęgniarka.

– Widzę to – odparł młody, puciołowaty lekarz. – Niech się pan nie przemęcza.

Naprawdę. Jeśli chce pan zapytać o przyjaciela, obawiam się, że nie miał tyle szczęścia, co pan. Zginął na miejscu. Pan również by się zabił, ale na szczęście wylądował pan na nim.

Strach i zdziwienie Kenny’ego musiały być wyraźnie widoczne, bo pielęgniarka dotknęła delikatnie jego ramienia.

– Chodzi o tego drugiego mężczyznę – wyjaśniła. – O tego grubasa. Powinien pan dziękować Bogu za to, że był taki gruby. Złagodził pana upadek jak wielka poduszka.

Kenny Dorchester wreszcie zrozumiał, co do niego mówią. Rozplakał się i zaczął dygotać, ale tym razem były to łzy radości. Po trzech dniach zdołał wykrztusić pierwsze słowo.

– Pizza – powiedział słabym, ochryłym głosem, który z trudem wydobywał się spomiędzy jego warg. Powtórzył głośniejsze to samo słowo, a po chwili dzwonił już na pielęgniarkę i krzyczał, dzwonił i krzyczał. – Pizza, pizza, pizza, pizza – skandował. Nie uspokoił się, dopóki jej dla niego nie zamówili. Nigdy w życiu nie jadł nic smaczniejszego.

Przełożył Michał Jakuszczyński

Table of Contents

[Rozpoczni](#)